TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II.Nr.38./46/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 17.IX.1942.

Niebоska komedia.

Płynie włoskie jezioro lazurową wodą
Piosenka gdzieś zabrzmiała wśród ciasnej uliczki
Hrabia Zygmunt ubrany romantyczną modą
Krwawą różę przez białe zrywa rękawiczki.

A za nim zachód słońca i żółte ruiny
I nagle od lekkiego zefiru powiewu
Jedwabny szal się z ramion osunął Delfiny
I zaplątał w gałązkach cierniowego krzewu.

I wtedy on wyszeptał: "Ach! To koniec lata!"
I więcej już w ten wieczór nie mówili z sobą.
A w nocy ujrzał nagle okryte żałobą
Okopy Świętej Trójcy i ruiny świata.

Jan Lechoń

Czarna Księga.x/

W przedzień trzeciej rocznicy niemieckiego najazdu na Polskę znana firma wydawnicza Putnam's wydała wspaniały - i jakże tragiczny - zbiór dokumentów, odnoszących się do czarnego rejestru zbrodni niemieckich w Polsce od chwili okupacji do czerwca 1941 r. Wartość opracowanego doskonale przez Polskie Ministerstwo Informacji przeszło 600 stron liczącego t tomu podnosi jeszcze fakt, że wydany jest tak starannie, iż Amerykański Instytut Grafiki zaszczytnie wyróżnił go za szczególnie estetyczne pod względem graficznym wykonanie.

Fakty nagromadzone w Czarnej Księdze są nam wszystkim znane, opisy prześladowań i tortur czytaliśmy już wielokrotnie, fotografie i reprodukcje fotostatyczne, afisze, wycinki z gazet oglądaliśmy poprzednio wiele razy. Jednak fakt nagromadzenia całego dostępnego materiału w jednym tomie sprawia, że ten materiał dokumentacyjny uderza w nas ponownie nieogarnionym ogromem tragizmu. Ten katalog metodycznych zbrodni i zorganizowanego okrucieństwa przytłacza jak jakaś okropna zmora. Pięści same się zaciskają gdy przechodzimy rozdziały, przedstawiające w sposób powściągliwy i rzeczowy, poszczególne stadia czy aspekty gospodarki czy poczynań Herrenvolk'u. Ta powściągliwość, ten ton nawskroś beznamiętny i objektywny sprawia tem większe wrażenie.

Uderza w Czarnej Księdze zatarcie granicy między pojęciem Niemca i Hitlerowca. Przedstawiając rzeczy dziejące się na ziemiach polskich dzisiaj, Czarna Księga podaje dyskretnie rodowód tych "hitlerowskich " poczynań. Tak n.p. gdy mowa o masowym wysiedlaniu ludności polskiej z Pomorza czy Poznańskiego, Czarna Księga przypomina bismarckowskie "Ausrotten" oraz fakt, że gdy w r.1915 Niemcy zamierzali pewne okręgi zaboru rosyjskiego przyłączyć do Prus, przedstawiciele niemieckiego świata naukowego i intelektualnego zwrócili się do cesarza Wilhelma z petycją domagającą się całkowitego wysiedlenia Polaków z tych okręgów. Petycję tą z dn. 20 czerwca 1915 r. podpisało 352 profesorów, 158 duchownych rozmaitych wyznań, 148 sędziów, 40 posłów, 18 generałów oraz 253 literatów i artystów, jak również cały szereg innych przedstawicieli inteligencji. Wykonując skwapliwie wskazania "Mein Kampf", że "trzeba zgermanizować ziemię /Boden/, bo tylko to da trwałe rezultaty", Niemcy mają wzory starsze niż hitlerowska biblia.

Czarna Księga winna stać się obowiązkową lekturą wszystkich, którym wygranie wojny leży na sercu. Chodzi o to, by ten zbiór dokumentów niemieckiego barbarzyństwa i polskiego poświęcenia i bohaterstwa znalazł jak najszersze rozpowszechnienie. Umocni on życzliwych nam w przeświadczeniu o ogromie naszego cierpienia a także o wielkości naszego wkładu we wspólną sprawę ludzkości, a obojętnych - miejmy nadzieję - obudzi i poruszy.

Na Polskę zstąpiła "hora tenebrarum" ucisku i gwałtu. Czarna Księga daje świadectwo nieugiętej, mimo potwornych zbrodni najeźdźcy, postawy narodu. Ta właśnie postawa kazała stwierdzić Prezydentowi Rooseveltowi, że Polska "stała się natchnieniem nie tylko dla narodu amerykańskiego, lecz dla wszystkich ludzi na całym świecie miłujących wolność". A podsekretarzowi stanu w amerykańskim ministerstwie spraw zagranicznych, Berle'mu włożyła w usta słowa, że z przykładu Polski "my, którzy prowadzimy wspólną walkę musimy zaczerpnąć żelazną wolę usunięcia tyranii z powierzchni ziemi" oraz że " oznaką naszego pewnego zwycięstwa będzie

---

x/ "The Black book of Poland",illustrated, New York:G.P.Putnam's Sons, 1942, XIV:615

przywrócenie wolności nieśmiertelnej Polsce".

Gdy świat wchodzi w czwarty rok gigantycznych zmagań Czarna Księga jest lekturą szczególnie na czasie. Oby trafiła do jak największej ilości czytelników. Jest obowiązkiem nas wszystkich, aby istotnie to się stało.

Ludwik Krzyżanowski

Knajpa i kawiarnia.

Panu Leonowi Alterowi.

Restauracja Ogniska Polskiego na ulicy 66-tej, prawdziwie polskie zsiadłe mleko, bigos, barszcz, szczawiowa, grzybowa stały się, rzecz zrozumiała, nietylko jednodniową sensacją w życiu uchodźców z Polski, ale ważną, istotną częścią tego życia. Nikt z Polaków, który wielbi "Pana Tadeusza", a ilość ich oczywiście wzrasta w miarę rosnącej tęsknoty do kraju, nie potrzebuje dowodów na to, że kuchnia narodowa jest częścią tak ważną narodowej tradycji, ma taki dar budzenia wspomnień, że śmiało uchodzić może, choć nikt tego nie śmie powiedzieć, za element patriotyzmu. Zapach Polski to nietylko zapach łąk i lasów, zapach bzu na wiosnę w Ogrodzie Botanicznym, kasztanów w czerwcu pod Wawelem i zeschłych liści jesienią w Łazienkach - ale taksamo ów zapach błogi, jaki unosi się z pod pokrywy w barze, kryjącej ów mickiewiczowski przysmak federacyjny, polsko-litewski bigos, albo mocną woń imbiru i papryki, która biła nam nie do nosa, ale poprostu do serca, ilekroć czytaliśmy ów klasyczny, arcypolski napis "We czwartek flaki".

Restauracja polska w centrum Nowego Yorku była też nietylko potrzebą żołądków i kieszeni, ale jeśli nie dusz to temperamentów i sentymentów wielu Polaków, którzy dzięki niej odnaleźli coś z utraconego domu i teraz raz po raz zwęszywszy zrazy z czarną kaszą albo klops w warszawskim stylu czują niemal łzy, kręcące im się w oczach i bezskutecznie a instynktownie oglądają się za kieliszkiem zabronionej wódki, aby w nim po polsku, jak to tyle razy bywało / w zależności od stopnia dawnej świetności, w Europejskim, u Simona czy pod Wiechą/ utopić swą tęsknotę.

Paniom, które ten tak zdawałoby się prosty a tak trudny do wykonania pomysł doprowadziły do skutku i które z niezmąconą pogodą ducha, wzruszającą życzliwością i wyrozumieniem pracują w nowej jadłodajni, należy się naprawdę dobre i publicznie wypowiedziane słowo. Cóż bowiem jest dziś rzadsze niż owa pogoda, cierpliwość i miły uśmiech, które nie opuszczają naszych uroczych, dobrych i rozumnych pań w ich robocie i które czynią bezcennemi owe tak tanie a smaczne posiłki. Cóż może być dla nas lepszym dziś przykładem niż społeczna zaradność, bez gadaniny i sporów znajdująca wyjście z różnych dokuczliwości naszego życia, cóż wreszcie milszego niż godzina spędzona nareszcie nie w milczeniu na wysokim stołku w aptece /cóżby na to taki Kamil Witkowski powiedział/,x/ ale przy stoliku na rozmowie lub kłótni z przyjaciółmi, jak to "in illo tempore bywało" za czasów dawnych "Kresów", "Astorii", "Simona". Doprawdy, że "łza w oku się kręci" jakby powiedział nasz daleki drogi Kornel, łza się kręci i tysiąc najwspanialszych powiedzeń brzmi nam w uszach, twarze zapomniane a pełne wyrazu zdają się wyłaniać z przeszłości, kłąb dymu kawiarnianego nas otacza, biją nam w nozdrza najwspanialsze zapachy pol-

---

x/Mówią, że ktoś ze świty Arcyksięcia Ottona zapytany, gdzie tego dnia będzie jeść śniadanie jego władca, odpowiedział ze źle ukrytym zgorszeniem: "Sa Majesté déjeune dans la pharmacie".

skiej kuchni, niosąc pamięć drogiej nam dawnej codzienności.

Należę do ludzi, którzy znaczną część swej młodości spędzili,czy jak mi zawsze mówiono "zmarnowali" w kawiarni. Porwany, zaraz po skończeniu szkoły, przez demona czarnej kawy, a właściwie popijanych czarną kawą ciastek, bardzo wcześnie pokonawszy obawę karty restauracyjnej, która iluż młodym ludziom nie pozwalała przez lata całe ryzykować czegośkolwiek poza sakramentalnym sznyclem po wiedeńsku, z obawy dostania potrawy trudnej do krajania i jedzenia, poddawszy się bez walki urokowi kawiarnianego próżniactwa, niekończących się rozmów, wzajemnych odprowadzań się do domu po zamknięciu knajpy, regularnych codziennych spotkań o różnych godzinach w różnych lokalach, uczestniczyłem przez dziesięć lat we wszystkich wzniosłościach i marnościach życia wielkiej warszawskiej cyganerii, zrodzonej naprawdę z upojenia Polaków odzyskaną wolnością i ze zjednoczenia w paru warszawskich lokalach najfantastyczniejszych typów i typków, ciurów, prawdziwych i zmarnowanych wielkości i wschodzących gwiazd, zapełniających przedtem kawiarnie i knajpy różnych polskich stolic.

Kto tego nie przeżył, ten nigdy, a zwłaszcza kiwając się nad blatem "drug store", czy niosąc w drżących rękach tacę w kafeterii, nie pojmie co to była za epoka, co to byli za ludzie i na czym polegał urok tego boskiego życia, które było dla jednych największą zabawą i nagrodą po skończonej pracy, a dla innych samym sensem istnienia, godnym, aby dla niego ominąć ważne handlowe spotkanie, zaniedbać pracę, pogrążając się, jak ludzie Wschodu, w kontemplacji w rozkoszy bezinteresownej rozmowy, bezcelowego a przez to jakże epikurejskiego, jakże szlachetnego obcowania z ludźmi.

Od lat jeszcze studenckich z poprzedniej wojny, kiedyśmy się zbierali w dawnej "Udziałowej", czekając na wieści polityczne, przynoszone najczęściej późno w nocy z jakichś tajemniczych zbiórek przez naczelnych peowiaków w maciejówkach, wszystkie po tym, aż do wyjazdu do Paryża,moje lata warszawskie przypominam sobie według lokali, w których jadałem i gadałem bez końca; moja młodość były to kolejno lata "Empiru", "Astorii" i "Bristolu", lata Loursa i Małej Ziemiańskiej. Zmiany tych lokali indywidualne czy zbiorowe, to były całe epoki życia, bohaterskie porywy, nieraz kończące się niewytłumaczalnym a przecież dla wszystkich zrozumiałym rozczarowaniem, jak np.sławna decyzja "skamandrytów", aby przenieść się z Małej do Dużej Ziemiańskiej.

Nie lubię się chwalić, ale każdy w zapomnieniu chętnie wspomina minioną świetność - więc i ja muszę powiedzieć a Staś Ostrowski /czyli profesor Stanisław Ostrowski/ i pan Leon Alter nie mogą mi zaprzeczyć,że byłem w tej bohemie w różnych kawiarniach i knajpach bardzo ważną osobą i kiedy przypomnę sobie moją późniejszą służbę w dyplomacji, moje radcostwo w Paryżu wydaje mi się ono ciężką degradacją z tej wspaniałej pozycji, jaką zajmowałem jako codzienny gość rano "Ziemiańskiej", w obiad i wieczorem "Astorii", a przedewszystkiem jako główna osoba, niemal właściciel stolika "Cyrulika Warszawskiego" na półpiętrze w "Ziemiańskiej". Na ścianie nad tym stolikiem, najwygodniejszym w całym sławnym lokalu wielki Zdzisław Czermański, zażarty karykaturzysta między innemi i mej twarzy, wyskrobał kiedyś łyżką sylwetkę mej głowy i napis "Stolik Cyrulika zawsze zajęty". Ponieważ cały dzień prawie spędzałem w tej kawiarni więc uważałem ten napis za istotną ochronę przed wdzieraniem się natrętów w moje i moich przyjaciół życie; całe niewyczerpane i nieprzeczuwalne przezemnie pokłady sadyzmu otwarły się w mej duszy, aby bronić naszego wyłącznego prawa do tego miejsca i można powiedzieć, że czyhałem na śmiałków, wabiłem ich, a zwłaszcza arogantów i grafomanów złudnym uśmiechem, aby w chwili gdy oszukani,ufnie zbliżali się, chcąc się do nas

przysiąść,powiedzieć im zimno,wyniośle i bez apelacji:"Przeprasza,, ten stolik jest prywatny."

Kiedyś,pamiętam,stanąwszy na dole w kawiarni i spojrzawszy w górę na nasze półpiętro, usłyszałem ze zgorszeniem dochodzące stamtąd jakieś nieznane, rozbawione głosy i zobaczyłem sylwetki ludzi nietylko niemających prawa do zajmowania tam miejsca, ale nawet zupełnie obcych. Wieniawa, który należał do współwłaścicieli stolika, znając moje surowe i bezwzględne zasady, szybko zeszedł do mnie, aby najpoważniej w świecie wysumitować się, że ci panowie, z których jeden miał wkrótce zostać bardzo wielkim dygnitarzem, przysiedli się tylko na chwilkę, że zaraz sobie pójdą, że nie mógł im odmówić, nie wiedział jak to zrobić, że zresztą są to sami "swoi ludzie", że są ze Lwowa i że to już nigdy się nie powtórzy. Swoi ludzie, ze Lwowa czy nie ze Lwowa - raz ustąpić wydawało mi się zgotować nam wszystkim marny los, rozzuchwalić natrętów,którym ledwo zdołałem zaszczepić respekt i poczucie, że można mieć prywatny stolik w publicznej kawiarni. W cóżby zamieniło się nasze życie, które całe niemal, z przerwą na poważniejsze posiłki i pisanie wierszy, spędzaliśmy w "Ziemiańskiej", gdyby każdy mógł proszony czy nieproszony siadać razem z nami, mieszać się do naszych rozmów, słuchać naszych sekretów; na myśl o tem czułem oburzenie, krwią uderzające mi do głowy, właśnie jakby mi zagrożono, że drzwi mego domu mają być wyważone i że czereda nieznanych indywiduów będzie mogła odwiedzać mnie o każdej porze. Powiedziałem zimno Wieniawie, że nie ustąpię i z kamiennym uśmiechem patrzałem potem na wielkich politycznych tuzów schodzących jak niepyszni, niby pasażerowie w wagonie kolejowym, których konduktor wyprasza z nieprawnie zajmowanego przedziału.

Kto nie przeżył z nami tego okresu, kto nie pamięta jak pokolenia artystyczne rodziły się w "Ziemiańskiej", "Kresach", "Astorii", jak rozwijając się w swej sztuce awansowały jednocześnie do coraz "lepszych" stolików, niby uczniowie, przechodzący do wyższej klasy albo arystokraci angielscy wznoszący się po szczeblach coraz wyższych tytułów, kto nie zdawał sobie sprawy, czem był dla wszystkich bywalców "Astorii" stolik Kornela Makuszyńskiego, jakim przedmiotem zazdrości była jego niewątpliwie największa ranga w cyganerii, jakie różnice, jakie przepaście polityczne dzieliły "Ziemiańską" i "Loursa", kto nie rozumiał gry niuansów nakazujących chodzić po premierze w Polskim do "Astorii" a w Narodowym do Langnera, kto nie wiedział, że do Krzymińskiego przychodzi się głównie na jedzenie albo na rozmowy o interesach, kto mógł sobie wyobrazić, że stary Frenkiel, Reymont lub Kamiński, gwiazdy Loursa i właściciele osobnego tam stolika w drugim pokoju, mogli się naraz pojawić w "Ziemiańskiej" bez wywołania sensacji takiej niemal jaką wzbudziłby bruderszaft Piłsudskiego z Paderewskim, kto nie znał Franca Fiszera, Karola Szustra, Antoniego Langego, Feliksa Jabłczyńskiego, Bolesława Leśmiana - w sferze sztuki, Władysława Pfeiffra i Tadeusza Hersego w bohemie burżuazyjnej a niezapomnianego Hipcia Śliwińskiego w cyganerii politycznej - ten mimowoli zubożył swe życie i nigdy już nie będzie mógł znaleźć wspólnego języka z tymi, którzy obudzeni w środku nocy potrafią dziś jeszcze wytłumaczyć te wszystkie subtelności, wyrecytować wszystkie te nazwiska, podać geografię wszystkich tych stolików.

Ci wszyscy rozumiejąc, że czasy się zmieniły, że nie pora teraz na próżne gadanie, raz poraz zasiadują się przecież w miłej, nowej polskiej restauracji, bez wyraźnego powodu podchodzą od stolika do stolika i raz po raz łapią się na postanowieniu, że od jutra nie będą już tyle gadać, że zjedzą szybko, zapłacą i wyjdą, bo przecież nie sposób tyle

czasu tracić. I kiedy przychodzi godzina pierwsza, czują jakiś nakaz wewnętrzny w nogach, który każe im iść na ulicę 66-tą i to iść szybko, jakby opóźnienie groziło im utratą jakichś szczególnie miłych wrażeń, czy zaniedbaniem ważnego interesu. I zobaczywszy przy stoliku pod pięknemi sztychami Stasia Ostrowskiego, zaledwie że trochę posiwiałego od tamtych dawnych dobrych czasów, zwierzającego jakiemuś nowo zwerbowanemu adeptowi swoje nowe wielkie plany, które napewno jak i dawne wszystkie zrealizuje, mają po raz pierwszy od dawna błogie wrażenie, że nie cała droga nam przeszłość rozwiała się, że dawne nasze życie może powrócić tak nagle jak odeszło. I zobaczywszy, jak tyle razy widzieli w "Ziemiańskiej", wchodzącego o tej samej porze, Leona Altera, przecierają oczy i zdaje im się, że wszystko co nas spotkało jest to jakiś sen koszmarny, z którego oto nas zbudzono i możemy znów oddać się rozmowie o książkach, o miłości, pięknym wspomnieniom i marzeniom, włóczyć się w ciepłą noc jesienną z przyjaciółmi, że jesteśmy znów w Warszawie, że nie będziemy już nigdzie wyjeżdżać, tylko codzień, z uczuciem bezbrzeżnego szczęścia chodzić tą samą Mazowiecką i nie pragnąć aż do końca niczego więcej.

Jan Lechoń

Książka - niespodzianka.

Należę do gatunku tak zw. połykaczy książek. W kraju nałóg ten nie był zbyt groźny, gdyż wśród stosu wydawnictw, które rok rocznie ukazywały się na półkach, można było dokonywać wyboru stosownie do własnych upodobań. Gorzej, iż ta przywara, a jej to przypisuję winę, że nie napisałem w życiu tyle książek, jak to być powinno w moim osobistym mniemaniu, gdyż pochłaniała mój czas i wyobraźnię - nie odstąpiła mnie również w czasie mojej wojennej tułaczki. Wnet też po przybyciu do Nowego Yorku zacząłem czytać co popadło, i dobre rzeczy i słabe i takie, którychbym dawniej nawet nie tknął. Nic przeto dziwnego, że z rezygnacją męczennika swoich namiętności przywlokłem do domu jakieś ogromne tomisko, zadrukowane gęsto na czterystu bezmała stronicach. Ostatecznie i to przecież kiedyś się przeczyta, albo przynajmniej przewertuje w chwili bezczynnej melancholii. Tytuł, który brzmi "Samochodem przez Stany Zjednoczone" zbudził pewną oskomę, bo będąc w Stanach Zjednoczonych odczuwałem potrzebę dowiedzieć się cośniecoś o tym olbrzymim kraju. Autorem książki jest Ksiądz S.A.Iciek.

Rzeczywiście pewnego wieczora zacząłem w tym ogromnym tomie wertować karteczki, zakłopotany ilością zadrukowanego papieru. Jak zwykle w takich wypadkach nieufności i niezdecydowania, to rozleniwione wałęsanie się odbywało się w odwrotnym kierunku: od końca ku początkowi książki. Ale stopniowo czułem, że tekst wciąga mnie w swoją głąb jak wir zdradliwej rzeki. Od sceny do sceny, od opowiadania do opowiadania, od dygresji do dygresji, coraz uważniej wczytywałem się w ten nieznany mi przedtem tekst, coraz żywiej zainteresowany i coraz głębiej poruszony. Niespostrzeżenie posuwała się godzina za godziną, aż przerażony otrząsnąłem się z tej magii, że to był już prawie świt. Następnego dnia zabrałem się do uczciwego czytania od pierwszej strony i odtąd już przez tydzień chodziłem po świecie niedospany i pełen wyrzutów sumienia, gdyż wszystkie

moje obowiązkowe prace poszły w kąt, Książka całkowicie mnie pochłonęła.

Pochlebiam sobie, że w sądach swoich jestem raczej sceptyk. Ale tu nie waham się powiedzieć bez ogródek, że natknąłem się na książkę wyjątkową. Jest to odkrycie dla mnie tem dziwniejsze, że wyszła ona kilka lat temu w Polsce i że tak mało zwrócono na nią uwagę. Żywość i plastyka opisów, rozmaitość i bogactwo nastrojów, a przedewszystkiem język barwny jędrny i niejednokrotnie dziwnie piękny, świadczący o szczerym talencie autora - wszystko to powinno było zapewnić książce na rynku krajowym odpowiednią rangę, tem bardziej, że nasza literatura podróżnicza była dość uboga. A co jest najdziwniejsze: autorem tej książki, tak napisanej, że nie powstydziłby się jej żaden polski literat - jest Polak amerykański, który urodził się i wychował w Stanach Zjednoczonych. Cóż to za instynkt prawdziwie polski i cóż za autentyczność talentu, by w takich warunkach mieć tak wyostrzony słuch na najtajniejsze rytmy naszej mowy i tak subtelny smak w sztuce dobierania polskich dźwięków.

Rozmaitość nastrojów tego przedziwnego opowiadania jest zaiste niezwykła. Autor pisze o swojej podróży samochodem po Stanach Zjednoczonych. Na tle tego sprawozdania rozsnuwa całą gamę swoich przeżyć i wspomnień. Liczne dygresje polityczne i historyczne, wspomnienia z młodości, naukowe informacje z zakresu ekonomii, geologii i przyrody, a nawet statystyki stanowią jedynie surowy materiał, natomiast to co pociąga i nadaje książce wartość, to przedewszystkiem indywidualność autora. Posiada on przedewszystkiem rzadki wśród Polaków wrodzony dar zdrowego humoru. W partiach humorystycznych niejednokrotnie jest wprost kapitalny i osiąga wyżyny prawdziwie artystyczne. Jest to humor, przypominający najlepsze tradycje polskie, nieraz rubaszny, ale jędrny, naturalny i sugestywny, szczeropolski humor z gatunku Reyowskiego. Zabawny jest np.opis gry w golfa, kiedy autor z zapałem strzela kulkami, wypróżniając beczkę piwa lub też przygody z marynarzami polskimi w Gdyni. Wspomnienia z dzieciństwa i z czasów szkolnych mają pociągający urok sentymentu, przeplatanego humorem. Wprost tragikomiczna jest przygoda autora, gdy jako kleryk zwierzył się swemu rektorowi, że nie był jeszcze u bierzmowania. Zasiadłszy w kościele wśród dzieci, spostrzegł, że biskup przed udzieleniem sakramentu przeprowadzał egzamin z katechizmu. Z przerażeniem, w siódmych potach czekał na swoją kolej, bo katechizm całe życie był jego słabą stroną. Niejednokrotnie humor jego ma zabójczą ironiczną cietość, niweczącą fałszywe legendy. Wojna Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią w relacji autora przekształca się w jakąś groteskową farsę. Przed jego ciętą ironią nie uchroniła się nawet legenda powstania Stanów Zjednoczonych Ale w tej bezceremonialności nie ma nic z złośliwego nihilizmu. Autorem powoduje prawdziwie ludzka pasja prawdy, jakiś zdrowy instynkt, wrogi wszelkim zakłamaniom i konwencjonalnym wersjom.

Na tle tej szyderczej prawdomówności w stosunku do spraw świata uwydatnia się niezmiernie sympatycznie jego gorący patriotyzm polski, jego entuzjazm i miłość bez zastrzeżeń w stosunku do kraju rodzinnego. W obronie Polski potrafi być gwałtowny, jak np. w rozmowie z pewnym Anglikiem, który pozwolił sobie na głupie uwagi o narodzie polskim. Autor rąbnął mu z całego serca prawdę bez ogródek, nie wahając się wytknąć pewne nieprzyjemne dla Anglików wydarzenia polityczne. Ta cała gwałtowna i szorstka replika, ale pełna logicznych argumentów, wzrusza do głębi bo płynie wprost z serca gorąco kochającego Polaka. O postawie autora najlepiej świadczy fragment końcowy książki, którego nie mogę nie przytoczyć: "Trudności, z jakiemi Polska się zmagała, były stokroć większe od bogatej, dziewiczej natury, z jaką się borykał amerykański "home-

steader". W Polsce były ruiny i zgliszcza, tu natura hojnie nas we wszystkò wyposażyła. Jeszcze pamiętam tych chłopów z kresów, gdy przyszli do p.Paderewskiego, nowo mianowanego premiera, prosić o drzewo na chaty, gdyż wojna im wszystko zniszczyła. Jeszcze słyszę ten szloch wstrząsający tym twardym polskim ludem. Jeszcze widzę te łzy, jak groch spływające po policzkach tego wielkiego Polaka-patrioty! A gdzie jest wojna bolszewicka, gdzie obrona Lwowa, gdzie Poznańskie, gdzie koleje, poczta, wojsko, gdzie szkoły i uniwersytety, gdzie Gdynia, jednym słowem, skąd się to wszystko wzięło? I to w kilkunastu latach! Toć to największy cud pracy, energii i poświęcenia w historii narodów! Nie znam w kronikach żadnego narodu, któryby się kiedykolwiek znajdował w tak trudnych warunkach i tylu i tak wielkich dzieł dokonał, tyle trudności przezwyciężył. Toć wy nie Sarmatów, ale Tytanów plemię!"

Artystą z Bożej łaski jest autor w opisach przyrody. Cała książka jest właściwie hołdem, złożonym piękności przyrody amerykańskiej. W tej gorącej miłości do słońca, do skał, do puszcz i jezior jest zarazem coś z dojrzałej mądrości człowieka, coś z panteistycznej religii wielbiciela wiekuistego piękna. To też autor w tych opisach jest szczerym artystą. Jego obrazy z Yellowstone Park, z Glacier Park, opis Crater Lake, bujnych i malowniczych sadów Kalifornii lub też wzniosłego, posępnego majestatu Grand Kanyonu są prawdziwie pełne czaru. Autor umie posługiwać się najsubtelniejszymi barwami i konturami, potrafi znaleźć najtrafniejsze przenośnie i najtkliwsze określenia, by te wspaniałe cuda wyczarować przed oczyma czytelnika w całym ich przepychu i pięknie. Obrazy te porywają i budzą tęsknotę, by widzieć je nietylko w wyobraźni - i to jest najrzetelniejszym triumfem jego artyzmu. Uderza przedewszystkiem jego mistyczna żarliwa miłość do drzew. Drzewa są dla niego natchnieniem, dla którego znajduje wyrazy subtelne i pełne delikatnej poezji. Wśród tych opisów są naprawdę prawdziwe perły, godne by nie poszły w zapomnienie. Aby nikt nie pomyślał, że przesadzam, by dać dowód,że istotnie mamy do czynienia z rewelacją literacką, przytoczę jeden z licznych fragmentów o drzewach: "Wcale się nie dziwię naszym prastarym słowianom, że w olbrzymich dębach, modrzewiach i bukach widzieli Boga i tym tworom Jego wszechmocnej ręki cześć boską oddawali. Zupełnie mi się to wydaje naturalnem. Mimowoli czujesz wśród tych najstarszych żyjących tworów jakąś potężną, niezmąconą, niezmienną - wieczność. "To żyjąca wieczność", powiedział Roosevelt. Ciągnie cię jakaś niepojęta, tajemnicza siła do tych drzew, niby do kolumnami zdobnych ołtarzy! Chciałbyś w cieniu takiego olbrzyma, niby potężnej świecy o zielonym płomieniu, upaść na kolana, głowę pochylić do paprocią porosłych korzeni i z głębi skruszonej i rozmodlonej duszy zawołać:Wielki, potężny, a dobry jest Bóg! Najwspanialsze katedry i świątynie pięknymi kolumnami zdobne, są tylko kiepską, znikomą i kruchą imitacją tej niepojętej a niemal wiecznej świątyni natury! Posadzkę tworzy olbrzymy rodząca - Matka Ziemia. Za kolumny służą niebotyczne drzewa. Sciany zbudowały wieczne, prostopadłe gór granity... Gwiaździsty firmament sklepieniem!...W świątyni czujesz,że jesteś robakiem...prochem... nicością!..."

O wysokim gatunku zainteresowań autora świadczy jego stosunek do pamiątek historycznych. Ze szczególnym zamiłowaniem i zajmująco opowiada wydarzenia historyczne, związane z miejscami, które zwiedza. Jest to więc wycieczka nietylko w przestrzeni, lecz również niemniej żywa wędrówka w przeszłość. Poznajemy w ten sposób piękno kraju, ale również jej niezwykle malowniczą historię. Opisy bujnego życia osadników, awanturników i kopaczy złota, melancholijne obrazy opuszczonych, niegdyś tętnią-

cych burzliwym życiem miast gorączki złota, walki z Indianami,których autor bierze w obronę w imię szlachetnego poczucia sprawiedliwości, trudy i potworne znoje pierwszych osadników, bitwy i pamiętne wydarzenia historyczne - wszystko to przesuwa się przed wyobraźnią czytelnika żywo i plastycznie. Autor wyładował tu całą swoją pasję entuzjazmu miłośnika przeszłości. Typowy jest opis pola bitwy pod Gettysbourgh'iem, gdzie autor wskrzesza cienie walczących bohaterów, przebieg krwawej walki między wojskami Południa i Północy.

Książka Księdza Icieka jest pełna pozatem mądrych myśli człowieka, spoglądającego na życie ludzkie ze zrozumieniem i z filozoficznym spokojem pobłażania. Ujmujący jest jego stosunek do różnych sekt i religii, w których zawsze dostrzega to, co w nich jest szlachetne i etyczne. Dla wszystkich, jak np. dla Mormonów, potrafi znaleźć słowo dobre i szczerze chrześcijańskie. Jest tylko nieubłagany wobec "Ajryszów", wobec irlandzkiej hierarchii kościelnej, której próby wynarodowienia polskich katolików potępia z sarkazmem.

Wszystkim miłośnikom dobrej lektury gorąco polecam dzieło Ks.S.A. Icieka, tę książkę-niespodziankę.

Zenon Kosidowski

T i m e   b o m b .   Powieść.
Ciąg dalszy.

-Słowo to ma być tylko jakiś odruch? - mruczała Mrs White,- Jak czkawka albo poskrobanie się, kiedy swędzi?

-Myśl to więcej jak mówienie, bo człowiek nie raz dobrze myśli a mówi głupio, - dorzucił nieśmiało Weber.

-Z tym słowem to nie jest tak,jak pan doktór mówił. Bo przecie w Biblii jest "Na początku było Słowo!"...

-Właśnie! -poparła ją wojowniczo Wanda- Jak mógł być na początku odruch,kiedy jeszcze nic się nie ruszało,bo nic nie było!

-"Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo" - a nie odruchem!

Profesor i asystent spojrzeli na siebie przerażeni tym nagłym skokiem z behavioryzmu w Biblię. Śmiać się teraz nie mogli, a nie czuli się na siłach prowadzić rozmowę na ten temat. Wobec ich milczenia Mrs Karfunkel spróbowała załagodzić sytuację kompromisem.

-Może być,że są takie słowa,które są tylko odruchami,i że w człowieku jest zwierzę,co żyje tylko tymi odruchami - nie można powiedzieć,że nie ma - ale są i słowa Boskie. I w człowieku jest coś,co potrzebuje takich słów...Także nie można powiedzieć,że nie ma.

Wanda spojrzała na Degena. Ona wiedziała lepiej niż ktokolwiek,że to więcej niż nieprzyjaciel. Nieprzyjaciel chce zwyciężyć,a Niemcy chcą wymordować. Gdy egzekucje nie wystarczą,pomogą sobie więzieniami,obozami pracy i głodem. A jednak czuła,że pod tym mundurem i odznakami,i pod hasłami i wiarą,za którą gotów był umrzeć,że gdzieś głębiej jest taki sam człowiek,jakich miliony widzi się w Polsce, w Francji czy w Anglii. A przynajmniej materiał na takiego samego człowieka. I ma na zawsze zostać zbrodniarzem przez te jakieś głupie odruchy? I miliony takich jak on? Zdrowy jej rozum buntował się. Głupi jest ten asystent i cały jego behavioryzm! Z psami tylko robił doświadczenia i dlatego mówi,że nic nie zniszczy nawyków wytworzonych tresurą.

-Tak jest u psów,ale u ludzi? Chyba jest jakaś różnica między człowiekiem a zwierzęciem?!-zawołała za nim,bo już stał przy profesorze.

-Myślenie psa jest mniej skomplikowane,ale polega na odruchach tak samo,jak myślenie człowieka - odpowiedział.
-Człowiek przecie może zrozumieć co dobre a co złe,a pies nie,bo niema ludzkiego rozumu!
-Ma lepszy. Psi,- spróbował uspokoić ją żartem profesor,widząc jej przejęcie.-Lady Fair,gdy raz przypadkiem zobaczyła operację,zaczęła na mnie szczekać.
-Ale pies nie ma nieśmiertelnej duszy! Nawet ta Lady Fair!
-Psychologia nie wie nic o nieśmiertelności duszy- odpowiedział asystent,myśląc że tym ostatecznie zamknie dyskusję.Wywołał jednak nową burzę.
-Więc to jest psia psychologia,która nic nie wie o człowieku!
-Bo człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga,a pies nie!
-I człowiekowi można o tym przypomnieć,nawet Niemcowi,a psu nie!
Asystent spojrzał błagalnie na profesora,ale profesor sam nie wiedział co odpowiedzieć na ten zbiorowy atak. Jedyne wyjście było w ucieczce,więc podszedł do Degena.
-Spróbujemy mu przypomnieć. Jak zaczniemy wykręcać mu ręce,zaraz przypomni sobie o Bogu.- Położył mu rękę na czole.-Gorączki nie ma.Panie Weber,weźmiemy na operacyjną.
Weber odpowiedział z werandy.
-Zaraz,panie profesorze,tylko...Bo tu przyszła jakaś panienka,co szuka swojej przyjaciółki.To może wejść?
Za małym i szczupłym Weberem weszła tęga dziewczyna,o głowę wyższa od niego.
-To ta z piaskiem!- Wanda rzuciła wyjaśnienie profesorowi i jednym skokiem znalazła się przy niej.-Letycja!
-Wanda!- Nastąpił serdeczny pocałunek,którego długość profesor zaczął wymierzać zegarkiem.

Rozdział 9.

Letycja była typem wybitnie polskim. Gdy Wanda zobaczyła ją pierwszy raz w Londynie w Stratton House,idąc do pracy w polskim ministerstwie,od razu poznała w niej Polkę. Wprawdzie Letycja powiedziała "third storey" do chłopca w windzie wspaniałą,zdaniem Wandy,angielszczyzną,ale silna budowa,zdrowa okrągła twarz,jasne oczy i mały,nieco zadarty nosek nie zostawiały żadnych wątpliwości.
-Żeby pani nawet śpiewała po angielsku,od razu poznać Polkę- zagadała do niej.
Nieznajoma spojrzała na nią,potem uśmiechnęła się,a potem odpowiedziała po angielsku,że nie rozumie. Wtedy Wanda tak zawstydziła się i tak przepraszała,że zajechały za wysoko. Chłopiec nie zrozumiał wspaniałej angielszczyzny i Wanda zapomniała wysiąść przy polskim ministerstwie a Letycja przy holenderskim,gdzie też pracowała jako maszynistka.Wobec tego serdecznie uśmiały się i umówiły na lunch.
Podczas lunchu okazało się,że nie mogą porozumieć się,bo Letycja mówiła po angielsku z holenderska,a Wanda przeważnie po polsku. Różniło je więcej rzeczy. Wanda była umalowana a Letycja nie,Wanda była wesoła i pełna temperamentu a Letycja poważna i melancholijna,Wanda była skomplikowana a Letycja szczera i prostolinijna. Mimo to zostały serdecznymi przyjaciółkami,potem wzięły wspólne mieszkanie,a potem polubiły się.Później przyjaźń ich przechodziła różne fazy -od zaciętych gniewów aż do ubóstwiania. Letycja ubóstwiała Wandę,a Wanda pozwalała ubóstwiać się i kazała jej robić kolacje.

/Ciąg dalszy nastąpi/

Antoni Cwojdziński